

KAMILA SZCZEPAŃSKA-GÓRNA

SANGARIEL
ZEW KSIĘŻYCA

KAMILA SZCZEPAŃSKA-GÓRNA

SANGARIEL ZE W KSIĘŻYCA



WYDAWNICTWO
ERXOS

Na końcu książki umieszczono ostrzeżenia dotyczące treści.

Zachęcamy bardziej wrażliwych czytelników
do zapoznania się z nimi przed decyzją o lekturze.

© Copyright by Kamila Szczepańska-Górna
Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Paulina Zyszczak – Zyszczak.pl

Korekta: Natalia Kocot – Zyszczak.pl

Skład DTP: Andrzej Zyszczak – Zyszczak.pl

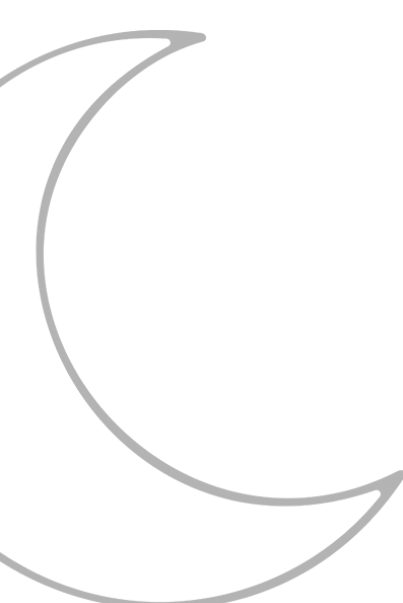
Projekt okładki: Wydawnictwo Erxos
Materiały graficzne: Canva Pro, DALL·E

Zabronione jest kopiowanie oraz powielanie i rozpowszechnianie
zawartości książki bez pisemnej zgody wydawcy.
(art. 116, 117 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych
z dn. 4.02.1994 r. z późn. zm.)

Wydawca
Wydawnictwo Erxos
<https://erxos.com>
wydawnictwo@erxos.com

Wydanie I

ISBN 978-83-976207-6-6



Prolog

Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem za ostatnią grupą, która wpadła do ogromnej sali. Kilkaset par oczu zwróciło się w stronę przybyłych, czekając na wieści. Były tu tylko kobiety w lejących czerwonych sukniach przypominających ledwie zastygłą krew. Trzymały się za ręce, tworząc ogromne skupisko złączonych kończyn, i cicho nuciły niezrozumiałą dla nikogo pieśń, choć były w tym świecie siły, które dobrze ją znały i drżały z przerażenia przed tym, co miało nastąpić.

– Są blisko! – krzyknęła ta, która jako ostatnia wbiegła do tego miejsca. Upadła na kolana, ledwie łapiąc oddech, ale zaraz inna ją podniosła i odciągnęła na bok, by dołączyły do płataniny damskich rąk.

– Zabarykadować drzwi! Grupy ochronne! Zaczynjcie rzucać zaklęcie! – Kobieta z długimi siwymi włosami, w których pobłyskiwały rude pasma, wydawała nerwowo polecenia.

Żadna z obecnych nie śmiała nawet sapnąć, by się jej sprzeciwić. Wszystkie zabrały się do działania jak pszczoły przy swojej królowej.

Przestronne pomieszczenie rozświetlone zostało blaskiem świec, których rozedrgane płomienie przywodziły ze sobą duchy

przeszłości. Pomimo zamieszania nie przzerwano zaśpiewu. Muzyka drgała w powietrzu, zabierając resztki wolnej przestrzeni i wypełniając ją tymi, którzy już dawno odeszli z tego świata. Siostry przybyły z pomocą.

Trzydzieści trzy kobiety stanęły przy drzwiach w półkolu. Jako jedyne nic nie mówiły. Wpatrywały się intensywnie w wejście, a ich brwi zbiegły się w napięciu, tworząc na twarzy każdej z nich inny wyraz: od nienawiści po przerażenie. Żadna jednak się nie cofnęła. Jak na rozkaz wyjęły noże z przypasanych do boku pochew, po czym kolejno rozcięły sobie żyły na lewych rękach. Krew skapywała szybko i zbierała się w kałużę biegnącą nienaturalną drogą ku drzwiom i oknom, by je otoczyć.

– Siostry! Nie robimy tego ze strachu! Nie robimy tego, bo nie mamy wyboru! Nasze działanie to wolność! Wolność, którą nam zabrano wieki temu! – Kobieta o siwych włosach stanęła na jedynym tutaj krześle i popatrzyła z góry na swoje towarzyszki, choć próżno było szukać wyższości w tym geście. Jej donośny głos przebiegał się przez zastygłą tu trwogę. Żadna z zebranych się nie poruszyła. – To my jesteśmy paniami tego świata i to na nas spoczywa obowiązek naprawy tego, na co pozwoliłyśmy! Równowaga już dawno została zniszczona, a dzisiaj zatańczymy na jej zgłiszczach! Nie płaczmy jednak, bo nawet wśród największych ruin może urosnąć silny las!

Po sali rozniósł się huk, a mówczyni zerknęła w stronę wejścia.

Byli tu. I próbowali przerwać to, co nieuniknione.

Kobiety stojące w półkolu zaczęły upadać jedna po drugiej. Bładość cer brzydko kontrastowała z czerwienią strojów. Ich krew nie należała już do nich.

– To zaszczyt z wami umrzeć!

Krzyk poniósł się echem i wbił pomiędzy zaśpiew, który nie zamilkł nawet na moment. Przywódczyni zeszła z krzesła i podeszła

do siostr, spoglądając na oblicza tych stojących najbliżej. Niektóre bezgłośnie płakały, pozwalając, by łzy znaczyły ścieżki na ich policzkach, inne stały z wysoko uniesionymi brodami, kolejnym zaś spokój wymalował na ustach szczęście.

Huk powtórzył się kilkukrotnie, nie przyniósł jednak skutku. Zaśpiew przybrał na sile, a płomienie świec wystrzeliły w górę. Kobiety stojące w dalszej części pomieszczenia puściły dłonie i obróciły się każda do swojej pary. Niektóre się uśmiechnęły, inne pokiwały głowami. Wszystkie zaś znów wyjęły sztylety. Wzniosły je wysoko, przeciągając zaśpiew. Powietrze drżało od wezbranej mocy. Pieśń się skończyła, a zgromadzone w jednej chwili opuściły ostrza i wbiły je prosto w pierś przydzielonej im siostry.

Fala energii przewróciła te, które wciąż stały, i zgasiła świece. Ostatnia żywa kobieta poleciała aż pod drzwi. Otrząsnęła się z szoku, lecz nie wstała. Oddychała ciężko, a strużka krwi wypłynęła jej z ust.

– Dowódczyni umiera ostatnia... – wyszeptała i z całej siły, jaka jeszcze pozostała w jej ciele, wyciągnęła z kieszeni zwitek suchych gałązek świerku. Skupiła się na nim. Usłyszała trzask, a palce zapłonęły jej ogniem. Otworzyła dłoń, gdy zaś płomień dosięgnął krwi pokrywającej podłogę, wybuchł i prędko strawił to miejsce.

Puste oczy rzuconych niczym lalki niewiast wpatrywały się bez życia w przestrzeń, a czerwone suknie czerniały od szalejącego żywiołu. Wydawać by się mogło, że nikogo prócz kilkuset kobiet, które wyzionęły ducha w tym pomieszczeniu, nie obeszczyły niedawne wydarzenia, było tu jednak coś, co wszystko widziało. Coś, co cierpiało. Wrzeszczało tak głośno, że gwiazdy zniknęły z nieba, a każda żywa istota wiła się w agonii.

A potem ucichło. Jedyne ognie szalały, pożerając te, które go przywołały.



Rozdział pierwszy

Elektra

Wpatrywałam się w otwartą szufladę i nie mogłam wyjść z podziwu, jak durni potrafią być terapeuci. Moje medale lśniły w aksamitnych pudełeczkach, a ja miałam ochotę wyrzucić je za okno. Gdybym tylko wiedziała, że żaden puszczonego samopas zwierzak ich nie zezre i nie zrobi sobie przez nie krzywdy... Pani psycholog kazała mi umieścić wszystkie odznaczenia w widocznym miejscu, dotykać ich, a nawet je nosić. Według niej miało mi to pomóc w stanięciu na nogi, docenieniu tego, do czego doszłam, i pamiętaniu o uratowanych cywilach oraz członkach oddziału. Ta głupia pizda w swym oświeceniu zapomniała, że każdy medal był okupiony czyjąś tragedią, bólem i porażką. Jeśli nie moją, to cywili, całego państwa czy moich kolegów. Pieprzony kawałek metalu, który miał nam wynagrodzić poświęcenie. Nie potrzebowałam tego, by wzorowo pełnić służbę.

Dlatego pogoniłam panią psycholog, a ta kurwa w odwecie zawiesiła moje pozwolenie na broń, argumentując swoją

decyzję PTSD¹ i możliwym samobójstwem. No tak, przecież wojskowy nie może się zabić inaczej, jak tylko strzelić sobie prosto w łeb, prawda? Kretynka.

Zamknęłam z trzaskiem trzy pudełeczka i zatrzasnęłam szufladę tak mocno, aż pusty wazon stojący na komodzie się zachwiał.

Za miesiąc minie rok od ostatniej misji, a ja wciąż nie wiedziałam, czy kiedykolwiek uda mi się wrócić. Brakowało mi moich ludzi, tego napięcia, poczucia, że żyję. Teraz jedynie wegetowałam, bujając się między rehabilitacjami i próbą udawania, że wcale mi nie odbija. Po chuju takie życie.

Chwyciłam telefon, wsunęłam go do kieszeni spodni i włożyłam ciężkie skórzane buty. Nie potrafiłam już nosić niczego innego. To one uratowały mi stopę przed amputacją, bo gdybyśmy mieli na wyposażeniu Adidasy czy inny szajs, poz byłabym się nie tylko odcisków, ale i całej skóry razem z mięśniami. Jasno to pokazały mundur, z którego niewiele zostało, i blizny zdobiące połowę mojego ciała. Oparzenia chemiczne to najgorsze gówno. Ale przynajmniej ocalałam swoich.

Zgarnęłam plecak, w którym miałam najpotrzebniejsze rzeczy, i wyszłam z mieszkania. Zaraz powinna się tu pojawić pani Anita, która co tydzień sprzątała w mojej kawalerce. Jej zadaniem było nie tylko ogarnąć, ale i przewietrzyć mieszkanie, żebym po powrocie nie wyczuła używanych przez nią środków. Choć trzymałam się nieźle, to jakikolwiek chemiczny odór przywoływał

¹ PTSD – zespół stresu pourazowego; zaburzenie psychiczne powstające w następstwie skrajnie stresującego doświadczenia lub traumatycznego wydarzenia. Objawia się m.in. natrętnymi wspomnieniami, koszmarami, nadmierną czujnością, unikaniem bodźców związanych z traumą oraz silnymi reakcjami lękowymi (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).



wspomnienia, które wołałam trzymać zamknięte na klucz. Wyparcie, wyparcie, wyparcie.

Późna wiosna przyniosła ze sobą piękną pogodę, dlatego nie wzięłam kurtki, czym powodowałam teraz pewną konsternację wśród mijanych ludzi. Już sama twarz poznaczona bliznami wystarczała, by patrzono na mnie z mieszanką obrzydzenia i współczucia. Dodanie do tego wyżartego przez chemikalia przedramienia zmuszało co słabsze jednostki do odwrócenia wzroku. Nie obchodziło mnie to. Moje blizny nie stanowiły powodu do wstydu. Niespecjalnie zależało mi też na wyglądzie. Drażniło mnie jednak, że te obrażenia odebrały mi część sprawności i do tego – mówiąc wprost – wywoływały ból.

Weszłam do tej samej co każdego tygodnia kawiarni i stanęłam w kolejce. Nie zdążyła się ruszyć, kiedy podszedł do mnie mężczyzna siedzący przy jednym ze stolików po mojej prawej.

– Czy mogę pięknej pani postawić kawę? – zapytał niewinnie.

Zerknęłam na niego jednym okiem i przyznałam z zadowoleniem, że jest dość atrakcyjny. Chętnie bym go przyjęła na numerek czy dwa, zwłaszcza że przy swoim wzroście ponad metra osiemdziesięciu rzadko miałam na to okazję. Faceci, kompleksy, te sprawy. Niestety w tym samym momencie moja wredna natura wykrzywiła mi usta w ironicznym uśmiechu, bo doskonale wiedziałam, co zaraz się stanie.

– Dam ci dobrą radę. Odwróć się i odejdz, póki jeszcze nie jesteś zmieszany. Tak, to słowo idealnie określi twój stan.

Zmarszczył brwi, lecz nie dał się tak łatwo zbyć. Rozciągnął usta w uśmiechu i nieco spuścił głowę, zapewne próbując rzucić mi zalotne spojrzenie.

– Nie mam złych zamiarów. To tylko kawa i krótka rozmowa. Jeżeli ci się nie spodoba, po prostu każde pójdzie w swoją stronę.



Wyłapał mój bezpośredni zwrot i również przeszedł na mniej formalny ton. Jaka szkoda. Kolejka skróciła się o jedną osobę, która zamawiała tylko małą kawę, więc musiałam się pośpieszyć. Nie chciało mi się tracić tu zbyt wiele czasu.

Powoli – ktoś mógłby powiedzieć, że ostentacyjnie – odwróciłam się i stanęłam z nim twarzą w twarz. Trochę poszarżał, rozszerzył nozdrza i przełknął z trudem, ale nie zareagował w żaden inny sposób.

– Wydajesz się całkiem spoko, więc pozwól, że oszczędzę ci zakłopotania i odpowiem na pytania, które chcesz zadać – powiedziałam. – Tak, pod koszulką i spodniami wyglądam z lewej strony tak samo. Nie, to nie zniknie. Jak najbardziej rozumiem, że nie jesteś płytki i nie patrzysz na wygląd, mimo wszystko powinieneś skinąć głową i odejść. I nie, absolutnie mnie to nie urazi. Oprócz tego, co widzisz, dzwigam na barkach niezły burdel i szkoda twojego czasu, żeby w to wnikać. Żyj swoim pięknym życiem, a moje problemy zostaw mnie. – Uśmiechnęłam się, przez co moja blizna nabrała nieco makabrycznego wyrazu. Doskonale o tym wiedziałam, ćwiczyłam to przed lustrem.

Mężczyzna wciąż stał przede mną, jakby próbując znaleźć najlepsze wyjście z tej sytuacji, ale kiedy zmarszczyłam nos i pokręciłam głową, znów przełknął z trudem i się odezwał:

– Rozumiem. Życzę wszystkiego dobrego... – Odsunął się o dwa kroki, za wszelką cenę próbując nie patrzeć na lewą stronę mojej twarzy, by po chwili ponownie usiąść przy swoim stoliku.

– Dla ciebie to samo co zawsze, Elektro? – usłyszałam i odwróciłam się do kontuaru, za którym stała Wera, właścicielka lokalu. Jako jedna z nielicznych nigdy nie zareagowała na moje blizny. Może dlatego, że mieszkalam w tej okolicy od kilku lat i kojarzyła mnie jeszcze sprzed wypadku.



– Jeżeli moje zamówienie kiedyś się zmieni, to znak, że się starzeję. Jak idzie interes? – zagałam i oparłam się rękoma o blat. Wera zaczęła przygotowywać karmelowe i kokosowe latte macchiato oraz wyciągnęła z witryny dwie babeczki czekoladowe.

– Bez zmian, chociaż to nowe prawo podatkowe mnie wykończy – mruknęła, a ja pokiwałam głową, chociaż niespecjalnie śledziłam ostatnie zmiany. Nowe wojny sporo kosztowały. Ktoś musiał za to zapłacić. To minus i jednocześnie plus bycia mocarstwem.

– Kumam. Będę przychodzić częściej i nakłaniać klientów, żeby zamawiali więcej. Nie wiem dlaczego, ale jakoś mało kto mi odmawia.

Parsknęła i postawiła przede mną dwa kubki w papierowej podstawce oraz babeczki w małej torbie.

– Nie kuś. Kiedyś skorzystam z twojej propozycji.

Położyłam pieniądze na ladzie – jak zawsze tę samą kwotę z wliczonym napiwkiem – chwyciłam zakupy i zasalutowałam słodkościami.

– Nie rzucam słów na wiatr. Do następnego! – stwierdziłam i skierowałam się do wyjścia. Zerknęłam jeszcze na tego biedaka, który następnym razem dobrze się zastanowi, zanim poprosi jakąś kobietę o chwilę rozmowy, została po nim jednak tylko niedopita kawa. Punkt dla mnie. Nie spodziewałam się niczego innego.

Podążyłam znaną mi ścieżką, by po kilku minutach wejść do parku. Otoczył mnie przyjemny chłód, jaki może dawać tylko cień rozłożystych drzew, a ja jak co tydzień żałowałam, że cała nasza cywilizacja wołała beton niż naturę. Odpoczywałam jedynie wśród roślin, najlepiej z dala od ludzi. Może dlatego moja kolekcja kwiatów doniczkowych w ostatnim czasie się rozrosła. Teraz przynajmniej mogłam się nimi zaopiekować. W sumie prawdopodobnie nic innego mnie nie czekało.



– Pani kapitan jak zawsze w wyśmienitym nastroju. – Głos Sylwka przebił się przez moje ponure myśli.

Na moich ustach zawitał krzywy uśmieszek. Co prawda zostałam awansowana na majora za wybitne osiągnięcia i poświęcenie, ale znaczyło to dla mnie tyle co pokrywka od kubka z kawą i mój towarzysz dobrze o tym wiedział. Ci na górze dali mi majora wyłącznie dlatego, że nie wierzyli w mój powrót – w ten sposób nagradzano wyższych stopniem żołnierzy, by dostali lepszy dodatek do pensji, która w tym wypadku była rentą.

– Spocznij, poruczniku. Kawa nam stygnie. – Podałam mu jeden z kubków i usiadłam na ławce obok niego. Również miał w głębokim poważaniu opinie innych ludzi. Włożył spodenki, żeby jego proteza kłuła w oczy niektóre osobniki. Byliśmy do siebie bardzo podobni i tak samo wykreślono nas z życia wojskowego. – Jak tam Daria i dzieciaki?

Zmarkotniał i upił łyk karmelowej latte macchiato, ale nie poprawiło mu to nastroju.

– Oni dobrze, tylko jutro przyjeżdża moja teściowa. Na całe dwa tygodnie.

Syknełam i rozdarłam torebkę z babeczkami. Będzie ich chłopak potrzebował.

– Czyli nie słyszała, że goście są jak ryby i po trzech dniach zaczynają śmierdzieć?

Zaśmiał się i złapał swoje ciastko, by po chwili wgryźć się w nie z zadowoleniem.

– Ostatnio próbowałam jej to tłumaczyć. Wróg jednak jest silny, dlatego czas rozpocząć misję „teściowa”. I liczę, że mi w niej pomożesz. Ale... – Uniósł kubek. – Muszę cię uprzedzić, że możliwe są straty w ludziach, jeżeli misja się nie powiedzie.



– Rozumiem... Wtedy misja „teściowa” zmieni się w misję „skarb”. Sto metrów od domu i dwa metry pod ziemią. – Mrugnęłam mu, ale tym mniej makabrycznym okiem, a on znowu się zaśmiał. Czasami nie mogłam wyjść z podziwu, jakim cudem tak świetnie sobie radzi. Może to rodzina dawała mu takie wsparcie? A może tylko udawał? Wzruszyłam w duchu ramionami i klepnęłam się dłonią w udo. – Dawaj szczegóły. Mam przeprowadzić dywersję, pociąg opóźnić?

Pokręcił ze smutkiem głową i ugryzł kolejny kęs wypieku.

– Wróg jest za silny. Musimy sięgnąć do broni ostatecznej. – Popatrzył mi prosto w oczy bardzo poważnie, a ja poczułam ukłucie gdzieś między łopatkami. Knucie przeciw teściowej było śmieszne, lecz brakowało mi jakiegokolwiek misji i sensu. – Musisz umożliwić i ubezpieczyć mój odwrót.

Popukałam palcami w papierowy kubek i upiłam w końcu łyk kawy. Nie lubiłam, gdy była zbyt gorąca.

– Czyli, jak rozumiem, powtarzamy misję z Wielkanocy, kiedy ratowałeś mnie przed moją wścibską rodziną. Tym razem ja mam być w potrzebie, a ty przyjedziesz, żeby mnie poskładać i żebym nie palnęła sobie w łeb? A nie, przepraszam! Nie mogę tego zrobić, bo ta suka zabrała mi broń – warknęłam, wciąż to przeżywając.

– Nigdy jej tego nie zapomnisz, co? Może kolejna misja będzie dotyczyła pani psycholog? – Szturchnął mnie łokciem, a ja rozciągnęłam usta w uśmiechu. – Zasiałem już ziarno tydzień temu, bo przeczuwałem taki obrót spraw. Powiedziałem, że masz się gorzej i muszę znaleźć sposób, żeby ci pomóc. No i znalazłem. – Pożarł resztki babeczki, by zaraz sięgnąć do kieszeni i wyjąć z niej pęk kluczy. – Lubisz naturę, więc historia się spina. Powiedziałem, że potrzebujesz odosobnienia, dlatego dostajesz klucze do leśniczówki mojego ojca. Pojedziesz tam, po

dwóch dniach zadzwonisz, że z tobą źle, a ja pojedę, żeby pomóc ci na miejscu.

Uniosłam kubek w geście toastu, bo zaimponował mi swoim planem. Zналиśmy się ledwie pół roku, ale nasze cotygodniowe spotkania – nie licząc godzin spędzonych na czacie – były czymś więcej niż pomocą koledze po fachu. Gdy zrezygnowałam z terapii, mój przełożony dał mi kontakt do Sylwka i zmusił mnie, żebym się do niego odezwała. Sylwek również został uziemiony po jednej z misji prawie trzy lata temu i jako jedyny mógł mnie zrozumieć. Bo jak niby miała mi pomóc psycholog, której jedynym zmartwieniem było to, że pacjent jej osmarkał kanapę podczas sesji? Co ona mogła wiedzieć o tym strachu, bólu i ogromnej odpowiedzialności, którą każde z nas dźwigało na barkach? Skąd miała mieć pojęcie o trudzie, z jakim powracało się z misji, i o tym, że nie sposób się odnaleźć w rzeczywistości bez adrenaliny i ciągłego napięcia? Nie rozumiała oszpeconego życia wydartego przez niewątpliwe ryzyko tego zawodu. Dołączaliśmy do wojska z powołania. Zabranie nam tego świata to jak odebranie wszystkich zmysłów. A jednak musisz jakoś funkcjonować.

Odsunęłam te myśli i znów skupiłam uwagę na Sylwku, który nie zareagował na moje chwilowe odpląnięcie. Rozumieliśmy swoje problemy, bo przeszliśmy się nawzajem w swoich butach.

– Genialny plan. Jestem pod twoimi rozkazami. – Wzięłam klucze i schowałam je do plecaka.

Ktoś inny zadałby pytanie, czy wszystko ze mną w porządku. Na szczęście Sylwek tego nie robił. Dobrze znał odpowiedź. Żadne z nas nigdy nie będzie w porządku. Wystarczyło, że mieliśmy się obok i w razie czego mogliśmy do siebie zadzwonić w środku nocy z prośbą o wsparcie, co jemu zdarzyło się raz, mnie – pięć razy.



Może powinnam stworzyć grupę dla takich jak my? Może...
Może jeszcze nie teraz.

Wróciłam pod mieszkanie, lecz nie od razu weszłam do środka. Najpierw otworzyłam na oścież drzwi i czekałam, aż przeciąg wygoni resztki nieodpowiedniego zapachu. To nie tak, że całkowicie odcinałam się od problemów, jakby nie istniały. Nikt prócz Sylwka o tym nie wie, ale kiedy mam lepsze dni, odkręcam butelkę z płynem do mycia kabiny prysznicowej i jak ostatni ćpun go wdycham. Muszę przekraczać własne granice, wolę to jednak robić w kontrolowanych warunkach i – co najważniejsze – w samotności. Butelkę też łatwo zamknąć, jeżeli panika wykręci mi trzewia. Z umytym w połowie zlewem niewiele bym zrobiła, dlatego potrzebuję pani Anity.

Poczekalam jakies pięć minut i w końcu weszłam do środka, po czym zamknęłam drzwi na klucz. Zdjęłam buty i od razu skierowałam się do kuchni, by spojrzeć na grafik mojej siostry przekazywany mi przez nią każdego miesiąca. Idealnie się złożyło – jutro miała wolne. Wyciągnęłam telefon i wybrałam jej numer. Nie wszystko jej mówiłam, a ona to szanowała, bo zostawiała mi przestrzeń i oferowała pomoc, jeżeli będę tego potrzebować. Ja dawałam jej to samo.

Odebrała po trzech sygnałach.

– Elżuniu, co tam? – zapytała niewinnie, a mnie zabolaty zęby. Miałam na imię Elżbieta, ale od małego z tym walczyłam, często pięściami. Wszyscy znali mnie jako Elektrę, nawet w wojsku nikt nie odważył się zwracać do mnie inaczej.

– Mirosławo, chyba się zapominasz.



Zaśmiała się cicho. Tak, ona też nienawidziła swojego imienia. Była o półtora roku młodsza i przejęła ode mnie podejście do ksywek. Wszyscy nazywali ją Mirą.

– No jak to?! Przecież tradycja jest najważniejsza! Kimże byśmy bez niej byli?! – Perfekcyjnie udała piskliwy głos, jakiego używała nasza matka, gdy się denerwowała. To były również jej słowa, które wypowiadała do nas średnio raz w tygodniu. Jako jedyna nie akceptowała naszych ksywek. Ojcu za to nie robiły różnicy. Zapewne dlatego, że dostałyśmy imiona po babciach mamy, nie jego.

– Nie wiem, szczęśliwymi ludźmi? – mruknęłam, a ona znowu się zaśmiała. To nas różniło. Mira była pełna życia, a ja wolałam przyjmować wszystko na chłodno. – Potrzebuję jutro podwózki. Masz czas?

– Jutro nie pracuję, co pewnie wiesz, skoro dzwonisz, a randki nie mam, bo faceci to źle zrobione korniszony. – Rozległo się skrzypienie krzesła, na którym zapewne usiadła. Nie do końca podzielałam jej awersję do mężczyzn, bo znałam genialnych gości, lecz rozumiałam ogólny zamysł. – To dokąd jedziemy?

– Sylwek potrzebuje pomocy z teściową. Jadę na tydzień, może dwa do domu w lesie. Raz mnie tam podwoziłaś.

– Kojarzę, kojarzę... Ale wiesz, jeżeli mam pomóc wam się oczyścić z zarzutów, lepiej, żeby mnie nie było na miejscu zbrodni. Mogę za to dać wam rady, jak ukryć teściową, żeby nikt jej nie znalazł. Taki szybki kurs od detektyw Miry.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową, choć nie mogła tego widzieć. Siostra podobnie jak ja postanowiła zerwać z tradycjami i pójść w typowo męski zawód. Została jednym z najmłodszych nadkomisarzów i rozwiązywała najciekawsze, czyli najbardziej krwawe i brutalne sprawy w całym mieście.



– Mamy już plan, który na razie nie obejmuje pozbywania się zwłok. Na razie. – Usiadłam przy stole i zerknęłam kątem oka na ulotkę z kebaba. Chyba dzisiaj na obiad wpadnie coś niezdrowego. – Nad jaką sprawą teraz pracujesz?

– Szykuję zemstę na złodzieju jogurtów. Krystian tak się zasma, że będzie pływał we własnym gównie – warknęła, a ja znowu rozciągnęłam wargi w uśmiechu. Od trzech miesięcy słyszałam o nowym policjancie, który wyżera wszystkim jogurty pomimo widocznych kartek podpisanych imieniem.

– Tym razem zemsta nie tyle będzie dobrze smakować na zimno, ile raczej będzie się ciągnęła smrodem przez dłuższy czas.

Zaśmiała się, a krzesło znów skrzypnęło.

– Jutro ci opowiem, co mam w planach. To co, o dziesiątej będzie okej?

– Będzie okej. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, E!

Rozłączyłyśmy się, ale nie odłożyłam telefonu. Kebab za bardzo mnie wzywał.



Rozdział drugi

Mira podjechała pod mój blok równo o dziesiątej. Dobrze wiedziała, że punktualność to mój bzik. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby czekała na pobliskim parkingu od kilku minut, żeby podjechać idealnie o czasie.

Wrzuciłam torbę do bagażnika, a plecak, z którym nigdy się nie rozstawałam, wylądował na tylnym siedzeniu. Wsiadłam, zbiłam z siostrą żółtewka i zapięłam pasy. Zawsze przestrzegaliśmy zasad bezpieczeństwa.

– Jak twoja zemsta na złodzieju jogurtów? – zagaiłam, kiedy Mira ruszyła i płynnie włączyła się do ruchu. Doskonale wiedziała, gdzie jechać, a miałyśmy przed sobą prawie dwie i pół godziny drogi.

– Nawet się nie spodziewasz, ile z tym problemów. Nie chcę niczego dodawać, żeby nikt mnie nie złapał, sama rozumiesz. – Zerknęła na mnie, a ja przytaknęłam. – Dlatego prowadzę eksperymenty. Staram się doprowadzić jogurt do takiego stanu, żeby szybko spowodował rzadką zemstę, ale jednocześnie nie wzbudzał podejrzeń konsystencją czy zapachem. Po ostatnim

razie musiałam myć ściany, bo wieczko wystrzeliło i skiśnięta malina zakończyła jedno podejsie.

Zaśmiałam się, choć czasami mnie dziwiło, że wciąż wychodziło ze mnie coś więcej niż cyniczne uwagi.

– Nigdy nie próbowałam nikogo otruć, więc chyba ci nie pomogę.

Gwałtownie pokręciła głową i wystawiła palec wskazujący, akcentując swoją następną wypowiedź.

– Nie mam zamiaru nikogo otruć! Uważaj na słowa, bo nigdy nie wiesz, kto słucha. Nie moja wina, że ktoś zje coś przeznaczonego dla mnie, prawda?

Odsunęłam do tyłu fotel i umościłam się wygodniej. Blizny ciągnęły, gdy siedziałam w nieodpowiedni sposób. Mira to zauważyła, lecz nie skomentowała. Rozumiała wiele, może nie tak jak Sylwek, ale robiła to, co pomagało mi najbardziej – po prostu była obok, bez zadawania natrętnych pytań.

– Powiedz lepiej, co z mamą. Obraziła się za niedzielny obiad? – zagadnęłam, a usta siostry rozciągnęły się w krzywym uśmiechu.

– Pytasz, czy obraziła się za twoją nieobecność w jakże ważnym dla niej zwykłym dniu każdego tygodnia? No gdzie tam! Grałismy w scrabble, piliśmy wino, a ojciec nawet dał mamie buziaka. – Zerknęła na mnie z miną pełną przygany. – Dorośnij w końcu, E. Nie wiem, ile jeszcze ojciec to wytrzyma. Zostawisz mnie tam ponownie na któryś obiad i sama mu polecę jakiegoś prawnika od rozwodów. – Wyprzedziła płynnie dwa samochody, nieco przekraczając prędkość. Lubiała jeździć szybko, aczkolwiek trzeba przyznać, że robiła to rozsądnie.

– Nie wiem, po co dalej ze sobą żyją. Przecież od dawna wiadomo, że kobiety z naszej rodziny nie potrafią utrzymać związku.



Mira wzruszyła ramionami. Zgadzała się ze mną, zresztą z czym tu się nie zgadzać? Historia naszej rodziny mówiła sama za siebie: małżeństwa bez miłości, niespełnione pragnienia, a do tego rodziły się same kobiety. Niezależnie od tego, z którą linią genetyczną się spowinowaciły, efekt był ten sam. Dlatego ja i Mira niespecjalnie się nastawialiśmy na związki. Żyliśmy już przy nieszczęśliwej parze, po co nam więcej?

– Wiesz, jak to mówią. Możesz zmienić żonę, ale to i tak nic nie zmieni. Znane zło lepsze od nowego. Trzymaj wroga bliżej niż przyjaciela. Długo by wymieniać. Zresztą na pewno słyszałaś historię z ogłoszeniem. – Ustawiła tempomat i złapała kierownicę jedną ręką. – Gościu dodał ogłoszenie, że szuka żony. Większość zgłoszeń była od innych mężczyzn i zawierała tylko trzy słowa: „weź pan moją”!

Parsknęłam śmiechem i z zadowoleniem obserwowałam krajobraz zmieniający się za oknem. Gdy wróciłam po ostatniej misji, Mira – choć wielokrotnie ją odtrącałam – co wieczór przychodziła z kocem, poduszką i dmuchanym materacem, który dzielnie pompowała, by spędzać ze mną czas i nie pozwolić mi się pogрузić w byciu dupkiem. Zadziałało, mimo że dałam jej w kość. Kochałam siostrę i to, jak dobrze się przy niej czułam.

– Tak czy siak – zaczęłam nowy temat – może nam tam zejść do dwóch tygodni. Wszystko zależy od tego, ile czasu teściowa Sylwka postanowi u niego siedzieć. Powtarzamy akcję z Wielkanocy, tylko tym razem ze mną w roli głównej.

Dmuchnęła w przydługą grzywkę i puściła mi oko. Jej zupełnie siwe włosy tworzyły niesamowite połączenie z błękitem oczu. Tak, to kolejna klątwa kobiet w naszej rodzinie. Zaczynaliśmy siwieć od pierwszego dnia, kiedy dostawaliśmy okresu.



Nie chciałam się z tym zgodzić i nawet na misje zabierałam farby do włosów. Wolałam siebie w rudym odcieniu.

– Na kolejne święta mogłabyś mnie uwzględnić w swoich planach dezercji. Atmosfera bywa tam wystarczająco ciężka i bez uciekającej ciebie, wiesz? – W głosie Miry pojawił się pewien wyrzut, ale wiedziałam, że tak naprawdę podziwia moje planowanie.

– Na razie w ramach przeprosin dostajesz rozpiskę, jak podlewać moje kwiatki. Każda doniczka ma naklejoną kolorową kropkę, a tu... – Wyciągnęłam z tylnej kieszeni spodni poskładaną kartkę. – Masz legendę. Dasz sobie radę. – Otworzyłam schowek i wsunęłam tam świstek. Z tęsknotą zlustrowałam kolbę pistoletu, który tu trzymała.

– Tak w ogóle to mnie nie prowokuj, bo jeszcze jeden taki numer, a ściagnę matkę do twojego mieszkania i dam jej klucze. – Dźgnęła mnie palcem między zębami, ale tak delikatnie, że ledwie to zarejestrowałam. – Jasne?

– Tak jest! – Zasalutowałabym jej, gdybym stała. Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana.

– A teraz drugi temat. Zostawić cię z tym pistoletem sam na sam? Tylko załóż na niego prezerwatywę i jak skończysz, umyj go dobrze, zgoda? – Uśmiechnęła się i zwinnie zmieniła pas na ten potencjalnie szybszy.

– Nie zapominaj, że jestem starsza. To ja cię uczyłam, jak się całować, i kupowałam dla ciebie gumki.

– Właśnie... Dlaczego przestałaś je kupować? Co jeśli kiedyś o nich zapomnę? Zostaniesz ciocią, będziesz musiała czytać bajki o kotach, a dzieciak zeżre ci pewnie połowę kwiatów. Jesteś nieodpowiedzialna.

Pokręciłam głową, a na moją twarz momentalnie wpelźł brzydki grymas.



– Nie. To za dużo. Włączam radio i kończę temat twojej prokreacji, zanim w ogóle się zaczął.

– Jestem jak słońce. Nie dasz rady tego wyłączyć – stwierdziła i zaczęła śpiewać coś pod nosem. Nie mogłam wyjść z podziwu nad tym, że byłyśmy tak podobne i różne jednocześnie.

Zgodnie z zapowiedzią włączyłam radio i ustawiłam jakąś popularną stację. Moja zła passa trwała, bo zamiast na fajną muzykę trafiłam na jakąś dyskusję.

– *Właśnie o tym mówię, panie redaktorze. Świat nauki cyklicznie obwieszcza sukces i pokazuje nowe znaleziska archeologiczne, które rzekomo potwierdzają istnienie naszej cywilizacji już od tysięcy lat, jednakowoż nie możemy potwierdzić ich faktycznego wieku. Nawet datowanie węglowe, które wydawało się najdokładniejszą metodą badań, nie daje prawidłowych i zadowalających odczytów, gdyż każde z nich jasno wskazuje, że świat, który znamy, nie istnieje dłużej niż od czterystu dziewięćdziesięciu trzech lat. Mało tego! Drzewa genealogiczne, które próbowano tworzyć dla wielu rodzin, także królewskich, właśnie na tej dacie wstecz się kończyły. Zostały tylko niejasne historie bez pokrycia przekazywane z pokolenia na pokolenie i mgliste wrażenie o dawnych czasach, pełne legend i niezrozumiałych bajań. Jakże więc mamy uwierzyć, że nie zostaliśmy stworzeni z pewnym bagażem, zarówno emocjonalnym, jak i technologicznym? Kreacjonizm jest jedyną odpowiednią ścieżką, co wiemy już od dawna, jednakże nie narodziliśmy się jako nieidealne istoty czy nawet bakterie. W pewnym momencie ktoś zdecydował się stworzyć nas na swoje podobieństwo i powstałszy niczym Feniks z popiołów: silni, całkowicie ukształtowani i z ogromną wiedzą, którą nam podarowano razem z życiem.*

– *Panie profesorze, to wszystko do mnie przemawia i jak sądzę, do naszych słuchaczy również. Mam tylko jedno pytanie: gdzie się*

znajduje ta siła, która nas stworzyła? Wysłane w kosmos sondy i statki badawcze jasno potwierdziły, że poza Układem Słonecznym niczego nie ma, a Ziemia to jedyna planeta, na której istnieje życie. Gdzież więc jest ten, którego powinniśmy czcić? Która religia odpowiada za to stworzenie?

– *Ma pan rację, dokładnie takie wnioski zostały wysnute...*

Nie dałam rady dłużej słuchać tego bełkotu. Wyłączyłam radio i zerknęłam na Mirę.

– Dobra, śpiewaj. Wolę już to od tych teorii spiskowych.

– Się wie! – zawołała radośnie, zaraz jednak ułożyła usta w dzióbek i popukała się w nie palcem wskazującym. – Tylko co o tym sądzisz? Gdzie jest ta siła, która nas stworzyła później, niż wszyscy myślą? Czy jesteśmy obciążeni błędami naszych przodków, którzy przodkami nie są? Co się stanie niedługo ze światem?

Przewróciłam oczami i potarłam bliznę, która zaczęła mnie bardziej ciągnąć. Miałam takie objawy, kiedy poziom głupoty otoczenia wzrastał.

– Dobrze wiem, że żartujesz, ale proszę, skończ. Inaczej ja skończę to za ciebie w tamtym rowie. – Machnęłam ręką i wskazałam pobocze.

Mira jak zawsze się zaśmiała.

– Mam ci podlewać kwiatki i kryć cię przed matką. Muszę coś z tego mieć.

Ciepło buchało od kominka, w którym rozpaliliśmy, a suche drwa cicho trzaskały. Siedziałyśmy ramię w ramię, dzierżąc długie metalowe szpikulce z nabitymi na nie kilkoma piankami



i trzymałyśmy je nad ogniem. Mira pomogła mi ogarnąć w chatce i zrobić zakupy w okolicznym sklepie, a teraz postanowiłyśmy odpocząć, chociaż wiedziałam, że ten odpoczynek wkrótce zamieni się w serię pytań. Nie pomyliłam się.

– Nie myślałaś nad dołączeniem do policji? Przestępcy na widok twojej miny sami by się zakuwali w kajdanki, a jeszcze byś mi pomogła w jogurtowej krucjacie. – Mira przysunęła sobie pianki pod nos i zaczęła na nie dmuchać.

– Ta jogurtowa krucjata prawie mnie przekonała, ale jakoś nie widzę siebie nad rzeką, gdy wyławiają dwutygodniowe zwłoki. Chyba mam za dużą wrażliwość na to. – Zrobiłam to samo co ona i ostrożnie skubnęłam pierwszy cukierek.

Mira prychnęła i wpakowała od razu całą piankę do ust, a po chwili musiała oddychać przez nie szybko, by ochłodzić ich wewnątrz.

– Wciąż masz nadzieję, co? Nie oceniam, kumam. – Pożarła kolejną sztukę i mówiła dalej. – Sama bym pewnie tak robiła. Nie wyobrażam sobie życia bez swojej pracy, co chyba jest normalne, skoro nie mamy innej pasji. Tylko znalezienie czegoś na chwilę nie oznacza rezygnacji z tego, co kochasz.

Pokręciłam głową, bo kompletnie się z nią nie zgadzałam.

– Bzdura. To tak jak z matką i ojcem. Oboje związali się ze sobą na chwilę, ale nie chciało im się szukać czegoś nowego, bo znana bieda jest lepsza od nowej, więc tkwią tak w bezsensie od lat. Kiedy nie masz nic, będziesz z całych sił walczyć o powrót do tego, czego pragniesz.

Westchnęła ciężko, lecz nic więcej nie dodała w tym temacie. Mówiła prawdę, ponieważ mnie rozumiała, bo jej praca dla niej również była wszystkim.

– E? – zagaiła, a ja na nią spojrzałam. – Nigdy nie opowiadałaś, co tam się dokładnie wydarzyło. Znam pewne elementy,

ale nie na to się nastawiałam... Wiesz, brak nogi, bo wlażaś na mnie czy postrzał, jasne. Ale oparzenia chemiczne?

Odetchnęłam głęboko i ponownie zwróciłam twarz w stronę ognia. Mira faktycznie знаła tylko podstawy. Do tej pory nie chciałam o tym rozmawiać, a ona to wyczuwała. Jeżeli jednak pragnęłam wrócić do wojska, musiałam się zmierzyć z problemami.

– Separatyści przejęli starą fabrykę farb pod swoją działalność. Spodziewaliśmy się produkcji bomb i to się zgadzało, ale wywiad dał dupy i nie wiedzieliśmy, że w środku są cywile zmuszani do pracy. Próbowaliśmy ich wyciągnąć i prawie się udało. Ogólnie byłam już przy wyjściu ze swoją grupą, ale coś mnie tknęło. Nasze pieprzone przeczucie.

Siostra się skrzywiła. Doskonale wiedziała, o czym mówię. To kolejne przekleństwo kobiet z naszej rodziny zaraz obok siwych włosów. Każda była obarczona dziwnymi przeczuciami, które zawsze się sprawdzały. Nie zawsze jednak działało to na naszą korzyść.

Odrzuciłam pręt, bo odechciało mi się pianek, i kontynuowałam:

– Wróciłam. I w sumie dobrze, bo dwóch moich ludzi razem z trojgiem cywili zostało osaczonych. Nie mieli drogi odwrotu. Ktoś rozwalił gdzieś rury, wszędzie wylewała się chemia. Nie było czasu, więc zareagowałam instynktownie. Umożliwiłam im odwrót, ale przy starciu z jednym z separatystów wpadłam tam, gdzie nie powinnam. To gówno oblało cały mój bok i przeżerało mundur. Uratowała mnie trochę kamizelka. Od tamtego momentu niewiele kojarzę. Mój człowiek oberwał, więc go wyniosłam. Uwolniliśmy cywilów. I wtedy padłam.

Milczałam, a Mira przysunęła się i mnie objęła.

– Pojebane... Chociaż nasze przeczucia nie zawsze prowadzą nas w dobre miejsce, gdyby nie one, zginęłoby pięcioro ludzi. Chujowe pocieszenie, ale zawsze jakieś.

Uśmiechnęłam się smutno, opierając głowę o jej ramię. Wołałam nie dodawać, że mam awersję do zapachu chemii nie z powodu tamtego miejsca. Wtedy nosiłam maskę i niewiele czułam. Kiedy mnie ratowali, wszystko mi zdjęli i odór własnego gotującego się ciała w połączeniu z całym głównem, jakie na sobie miałam, tak wżarł mi się w umysł, że czułam go nawet w śpiączce. Pamiętałam to tak jak pełne przerażenia rozmowy ludzi wokół.

– Dowodziłam tą misją. Ważniejsi ode mnie byli ci, którzy zaufali mojemu osądowi. Byłoby gorzej, gdyby to oni zginęli zamiast... Niż żebym nie miała tych ran.

Nie skomentowała mojego zająknięcia. Obie wiedziałyśmy, co miałam na myśli i jak durne było takie podejście.

– Mają mi przydzielić nowego partnera – powiedziała Mira, zmieniając temat, za co byłam jej wdzięczna. Życie toczyło się dalej, mimo że bez mojego aktywnego udziału.

– Może tym razem od razu go nie wystraszą...

– Pff! Nie moja wina, że przysyłają mi idiotów! Jak można wleźć w zwłoki, co? No jak?!

Jej czyste oburzenie sprawiło, że aż się zaśmiałam.

Mira została do wieczora, bawiąc mnie swoimi opowieściami. Potrafiła odgonić ponure myśli zaprzatające moją głowę z równą upartością, jak brudne ubrania zawały podłogę w jej łazience. Oczywiście nie same z siebie. Siostra nie lubiła sprzątać.

Odprowadziłam ją do samochodu, planując jeszcze spacer pod osłoną nocy.

– Mam coś dla ciebie, skoro twierdzisz, że wszystko jest w porządku. – Sięgnęła do bagażnika, wyjęła z niego niewielką skrzyneczkę i mi podała.

Przyjęłam ją i przysunęłam sobie do ucha, a ona prychnęła.

– Nie tyka, więc chyba mogę otworzyć – mruknęłam i powoli jak saper uniosłam wieko. Na wyłożonym aksamitem styropianie spoczywał piękny pistolet, a obok niego lśnił zapasowy magazynek.

– Jest na mnie, więc nie zrób niczego głupiego.

Uśmiechnęłam się szeroko, lecz nie w reakcji na jej ostatnie słowa. Mira wiedziała, jak istotna jest dla mnie broń. Choć nie miałam z niej gdzie strzelać, czułam się bez niej jak bez ręki.

– Dokładnie tego modelu używałam na ostatniej misji... – To jedyne, na co mogłam się zdobyć. Problem nie leżał w tym, że nie potrafiłam dziękować. Ten gest był dla mnie zbyt ważny i zwyczajnie mnie zatkało. Siostra mi ufała, a co najważniejsze, musiała zobaczyć poprawę. Inaczej nigdy nie dałaby mi swojej spluwy.

Chyba wyczuła moje emocje, bo mnie przytuliła, nie zważając na pudełko, które wciąż trzymałam.

– Nic nie mów, ja wiem. Daj znać, jak trzeba będzie cię stąd odebrać. Ach! I pomóż mi w jogurtowej zemście. – Dała mi buziaka w policzek i odsunęła się jak gdyby nigdy nic. Skinęłam jej głową i pomachałam jak wtedy, gdy żegnała mnie przed wyjazdem na każdą misję.

Kiedy pojechała, zapakowałam skrzyneczkę do plecaka, w którym miałam najpotrzebniejsze rzeczy, choć dla niektórych taszczenie wojskowej apteczki, manierki z wodą czy parodniowego zapasu batonów energetycznych to idiotyzm. Jasne, zdawałam sobie sprawę z absurdu, jakim było noszenie tego typu sprzętu przy sobie w czasie pokoju, ale pewnych nawyków nie zmieni się od razu. To był mój most do dawnego życia i zamierzałam się go trzymać.

Podążyłam w znanym sobie kierunku, w końcu nie pierwszy raz się tu zatrzymywałam, a cudowny zapach leśnego poszycia

zawładnął moimi zmysłami. Uwielbiałam naturę. Przyjazd tutaj był genialnym pomysłem. Muszę za to podziękować Sylwkowi.

Zabrałam latarkę, lecz na razie jej nie zapalałam. Księżyc w pełni – na dodatek jakiś kwiatowy, czy cokolwiek dzisiaj miało się dziać na niebie – wystarczająco oświecił mi ścieżkę. Nie chciałam psuć sztucznym światłem tego połączenia z przyrodą.

Gdzieś w oddali pohukiwała sowa, a obok ucha bzyczał mi jakiś owad. Czułam się wspaniale, wolna od rzeczy, które wyzwalały we mnie trudne wspomnienia.

Nagle wszystko ucichło, a ja zatrzymałam się w pół kroku. Nie miałam pod ręką pistoletu, ale powoli sięgnęłam do rękojeści dużego noża, który ze sobą zabrałam. Jeszcze go nie dobyłam. Rozglądałam się w napięciu.

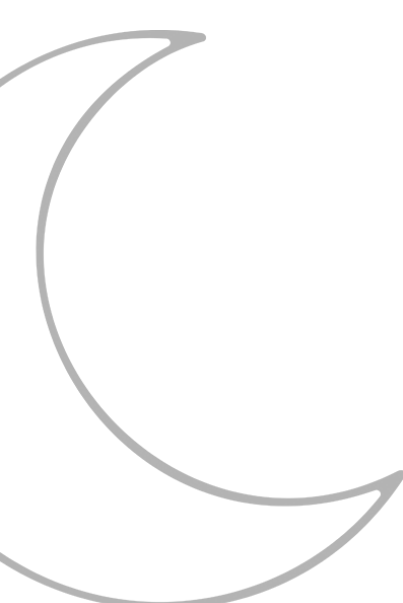
Coś zaszumiało w koronach drzew, a potem kapnęło na moją głowę. Raz i drugi. Wyciągnęłam dłoń i poczekałam, aż to coś wylądnie mi na skórze. Wyglądało zwyczajnie, a pachniało jak nic. Czyżby zaczęło padać?

Odwróciłam się bezszelestnie i postanowiłam wracać. Czułam, że przyspiesza mi puls, głupi umysł myślał, że znowu jest na misji. Cóż, nie powiem, było to przyjemne doznanie.

Huk rozdarł ciszę, a ja z przyzwyczajenia przypadłam do ziemi i zakryłam głowę rękoma. Noga zastrajkowała, ale ją zignorowałam. Miałam większy problem. Coś rozjaśniło świat tak, jakby koło mnie walnęła atomówka. Fala uderzeniowa odrzuciła mnie kawałek dalej. Przywaliłam plecami o pień i straciłam oddech.

Biel wypaliła mi plamy przed oczami i nawet pochłaniająca mnie ciemność nie była w stanie z nią wygrać.

Major Elżbieta „Elektra” Zakrzewska odmeldowuje się ze służby.



Rozdział trzeci

Blask krwawego księżyca odbijał się w drobnych kroplach. Tańczył na nich, raz za razem otulając swym błogostawieństwem kupkę nieszczęścia skuloną pod drzewem.

Rozbrzmiał świst spazmatycznego oddechu. Kobieta poruszyła się niemrawo, próbując wyprostować ciało tkwiące w pozycji płodu. Obróciła się na plecy i rozchyliła powieki. Ciemne kropeczki na jej błękitnych tęczówkach odzwierciedlały kolor nieba. Tylko brzydkiej czerwieni blizn zdobiących twarz nie sposób było do niczego dopasować.

Elektra... Miło cię poznać...

– Co jest, kurwa? – jęknęła i przekręciła głowę to w jedną, to w drugą stronę. Trudno powiedzieć, co dokładnie wyrwało ją z otępienia. Na pewno nie był to ból, choć rozlewał się wielkimi falami po całym ciele kobiety. Uniosła się na łokciu, krzywiąc przy tym twarz, a gdy spojrzała przed siebie, brwi podjechały jej do góry. – Ciebie to tu ostatnio nie było...

Wodospad nie odpowiedział. Wciąż szumił w tym samym rytmie, zagłuszając wszystko dookoła. Elektra już wcześniej

odwiedzała tę okolicę i miała pewność, że czegoś tak wielkiego by nie przeoczyła. Wzięła głęboki oddech. Doskonale pamiętała moment uderzenia w pień, dlatego przyjęła z zadowoleniem fakt, że jej żebra nie ucierpiały.

Metodycznie, jakby była na misji, zaczęła sprawdzać obrażenia. Kości na swoim miejscu, skóra nienaruszona, jedynie mięśnie odzywały się delikatnym bólem, który odchodził wraz z kolejnymi branymi oddechami. Usiadła ostrożnie i rozciągnęła ciało. Z pewną radością przyjęła stary ból ciągnących blizn. Gdyby się pozbyła i tego, zyskałaby powód do niepokoju. Każda rzecz musi mieć swoją przyczynę.

Chciała już wstać i odejść, ale powstrzymały ją przed tym dźwięki dochodzące z jednego kierunku. Odwróciła głowę i zacisnęła usta w wąską kreskę, gdy usłyszała grupę przedzierającą się przez las.

Przeturlała się na kolana i najciszej, jak potrafiła, podczołgała się do zarośniętej mchem sterty kamieni, by się ukryć. Męskie głosy docierały do niej coraz wyraźniej, lecz trudno jej było rozpoznać choć słowo. Przymknęła oczy, pragnąc lepiej ich usłyszeć, dźwięki balansowały jednak na granicy zrozumienia. Niby wiedziała, o czym mówią, ale była pewna, że nigdy nie słyszała tego języka. Naciągnęła kaptur na głowę, by schować pod nim ogniste włosy, i wychynęła zza głązów, próbując coś dostrzec. Grupa roślących mężczyzn parła naprzód metodycznie, ewidentnie czegoś szukając. Byli profesjonalistami, to mogła stwierdzić z całą pewnością.

No dobra... Analizując ostatnie wydarzenia, to zapewne przeżył narkotyków dronami. Niedaleko jest polana, tam może nastąpić bezpieczny zrzut. Muszę dać znać Mirze – pomyślała i sięgnęła powoli do kieszeni, uważając, by nie spowodować najcięższego

dźwięku. Wyciągnęła z niej jakiś przedmiot, który w jednym kawałku utrzymywała jedynie struktura kieszeni, bo gdy tylko ją opuścił, w mig rozsypał się na mniejsze części.

Zacisnęła zęby, lecz z jej ust nie wyrwał się nawet świst oddechu. Wyrzała jeszcze raz, by określić położenie mężczyzny, a gdy plecy ostatniego zniknęły za drzewami, powoli wstała i skulona przemknęła do kolejnej kryjówki.

Ktoś coś krzyknął i cała grupa się zatrzymała. Elektra oddychała płytko, na granicy swych potrzeb, by nie zdradzić położenia. Przyspieszyło jej serce. Mimo ukłucia strachu rozciągnęła usta w nieznacznym uśmiechu. Znow zaczynała czuć, że żyje.

Schyliła się, podniosła kamień i rzuciła nim w drugą stronę, niż sama zamierzała iść. Upadł z trzaskiem i poturlał się po leśnym poszyciu. Wtedy jeden z mężczyzn, zapewne dowódca, wrzasnął coś do dwójki stojącej najbliżej. Ruszyli ramię w ramię ku kamieniowi, a Elektra pomknęła w przeciwną stronę. Blask księżyca prześwitywał przez korony drzew, oświetlając jej drogę. Raz za razem chowała się za jakimiś skałami czy pniami, by sprawdzić sytuację i iść dalej. Nie kojarzyła tego miejsca, ale szukanie odpowiedzi zostawi na później. Najpierw przeżycie, potem rozwiązywanie zagadek.

Odczekała moment i znow skoczyła do przodu, niestety tym razem nie obyło się bez problemów. W ostatniej chwili wryła stopy w podłoże i wyciągnęła dłonie, by oprzeć się nimi o gałąź. Pod nią na liściach i mchu leżał mężczyzna na wpół podparty o pień. Trzymał się za brzuch, a pomiędzy jego palców przeciekała krew. Podniósł zbolące spojrzenie i drugą ręką spróbował ciąć nożem tam, dokąd sięgnął, Elektra jednak była szybsza. Odepchnęła się od drzewa, odskoczyła, a następnie kopnęła broń, wytrącając ją z dłoni mężczyzny. Ten usiłował się podnieść,

lecz powstrzymał go przed tym ból. Jęknął cicho i popatrzył na kobietę, mrużąc oczy. Kołatały jej się w głowie dwa słowa: *man down*². Z jej ust wypłynęły jednak inne.

– Też cię nie lubię – mruknęła na tyle cicho, by tylko on usłyszał, i ukucnęła przy nim, upewniwszy się, że jegomość nie ma przy sobie innego niebezpiecznego narzędzia.

Mężczyzna, gdy się do niego odezwała, rozchylił usta i zmarszczył brwi. Chyba nie zrozumiał, co powiedziała, bo wpatrywał się w nią zaskoczony.

Elektra pokręciła głową i przyłożyła sobie palec do ust. Najwyraźniej załapał, bo milczał, ale wciąż bacznie jej się przyglądał. Widocznie przestali go obchodzić ci, którzy go ścigali.

Zdjęła plecak i zaczęła w nim grzebać. Mężczyzna znów spróbował się poruszyć, ale kobieta po raz drugi pokręciła głową, więc porzucił ten pomysł.

– Kim jesteś? – zapytał ranny, a raczej to było jedyne, co Elektra zrozumiała, bo wypowiedział dużo więcej słów. Mimo że za jego plecami biegła banda groźnych mężczyzn, ten pólśiedzący przed nią wydawał się całkowicie pochłonięty analizowaniem jej osoby.

Po raz trzeci pokręciła głową, zerkając to na prawo, to na lewo, by w razie czego zareagować na atak. Wydobyła jedną z apteczek, którą z uporem zawsze nosiła przy sobie, i wyjęła z niej dwie rzeczy. Oblizwała usta, rozchyliła je na moment i westchnęła. Po kilku próbach udało jej się wykrztusić jedno słowo:

– Pomogę.

Gdy przytaknął, pochyliła się nad nim i z pewnym obrzydzeniem odnotowała, że mężczyzna ją powąchał.

² *Man down* (ang.) – mamy rannego.

– Nie nasza – szepnął.

– Srasza, nie nasza, zamknij dziób – warknęła, lecz tego już nie zrozumiał. Położyła dłoń na jego ustach, wbiła mu coś w udo i nacisnęła przycisk.

Poczuła ciepłe powietrze na dłoni i drgnięcie ciała nieznajomego, ale nic więcej nie zrobił. Po chwili się rozluźnił i wlepił w nią jeszcze bardziej zdziwione spojrzenie. Wykorzystała sytuację, by podnieść mu koszulkę. Musiała się spieszyć. Tamci byli coraz bliżej.

Już miała wcisnąć mu zawartość drugiej rzeczy w ranę, która wciąż obficie krwawiła, kiedy ciszę rozdarło wycie wilka. Dołączały do niego kolejne, tworząc przerażającą kakofonię. Rozejrzała się nerwowo, bo miała wrażenie, że dźwięki dochodzą z różnych zakątków lasu, ale mężczyzna złapał ją za dłoń i ścisnął.

– Moi – powiedział tylko, choć niezbyt ją to uspokoiło. Z rosląym mężczyzną sobie poradzi, lecz z wytrenowanymi psami nie ma szans. Wiedza ze szkolenia jednak wzięła górę. Zaaplikowała zawartość wąskiego opakowania na ranę mężczyzny prawie w ostatnim momencie. Głosy ścigających były coraz bliżej, tak samo jak wycie zwierząt.

Zostawiła śmieci i zarzuciła sobie plecak na plecy.

– Odciągnę ich – powiedziała trochę w swoim, trochę w jego języku i już miała wstać, gdy znów ją zatrzymał.

– Oni są złem. – Puścił rękę Elektry i skinął głową, po czym zrobił najdziwniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek widziała: głośno zawył.

– Skurwysyny zbierają się na północnej polanie! Szykują się do walki. Mamy przewagę liczebną. – Głos zwiadowcy wyrwał grupę z nerwowego oczekiwania. Nikt jednak nie podskoczył przestraszony. Większość pogładziła rękojeść swych mieczy, a niektórzy nawet lekko je wysunęli z pochew. Cichutki zgrzyt metalu rozniósł się po okolicy, podnosząc zebranych włoski na karku. Przygotowywali się do bitwy.

Najwyższy stopniem machnął ręką w kierunku jednego z mężczyzn, a ten podszedł do niego bez wahania. Długa blizna pod jego żuchwą drgała, gdy próbował się uśmiechać.

– Luca! Bierzesz swój oddział i idziesz ze mną. Rozproszymy ich od frontu, a reszta zajdzie ich od wschodu. Pokażemy im, co to znaczy wkraczać na nasze ziemie. – Pstryknął palcami i wskazał na innego dowódcę. – Rico³, ty weź czterech swoich i jeżeli się da, zgarnij po drodze wysłaną na przeszpiegi dwójkę. Macie znaleźć tego, który zakosztował naszego miecza, i wypatroszyć go do końca. Przyda mi się nowy dywanik koło łóżka. Reszta idzie ze mną. Rozkaz! – wrzasnął, lecz na nikim nie zrobiło to większego wrażenia. Już od rana przelewali w myślach krew wrogów. Skupienie sięgało zenitu, niedługo dane im będzie spuścić nieco emocji.

Rico nie skomentował, bo i żaden z nich nie miał tego w zwyczaju. Skinął na czterech mężczyzn, których najbardziej szanował i z którymi po prawdzie przyjaźnił się od lat. Oddalili się w stronę, z której przyszli. Ten pieprzony kundel musiał gdzieś się schować, a on nie pozwoli, by wrócili do siedziby z pustymi rękoma.

³ Uwaga od autorki: zakończone na -o imiona postaci męskich występujących w tym świecie pozostają w formie nieodmiennej. Jest to decyzja świadoma, wynikająca z odrębności językowej i kulturowej tego świata.

Wycie wilków było coraz bliższe. Powolnym ruchem dobył miecza, by w razie czego móc szybko zareagować. Jego towarzysze uczynili to samo. Już dawno nauczyli się biegać po lesie z długimi ostrzami. To był element ich życia, które w ostatnich latach tylko przybrało na intensywności.

Wciągnął głęboko powietrze, by wyczuć krew i podążyć za jej zapachem, lecz zatrzymał się gwałtownie. Wziął jeszcze jeden wdech nosem.

– Czujecie? – zapytał. Odpowiedział mu grupowy pomruk.

– Co to jest? – usłyszał za sobą Rico. – Tak nie pachnie nic...

– ...co znamy – dokończył i zerknął na niego przez ramię. – Kundle rosną w siłę od dłuższego czasu. Może to ich nowe dzieło. Idziemy w szyku.

Nie musiał sprawdzać, czy go posłuchali. Ufali sobie wręcz bezgranicznie. Już niejedną bitwę przetrwali wyłącznie dlatego, że mogli na siebie liczyć.

Walka na polanie już się rozpoczęła. Nawet tu słyszeli wycie, okrzyki swoich i jęki rannych. Marco nagle klepnął go w ramię i wskazał jakiś kierunek. Miał najlepszy słuch, dlatego jako pierwszy wychwycił to, czego szukali.

Rico za to otrzymał od losu najwrażliwszy nos, który wychwycił aromat dzisiejszej zwierzyny. To nie był ranny kundel. To był ktoś, kto sprawiał, że pulsujące działą naciskały na zęby i domagały się pożywienia. Z jego gardła wydobył się warkot, co reszta zrozumiała bezbłędnie. Kogokolwiek znajdą, należał do niego.

Elektra porzuciła skradanie się na rzecz pełnoprawnego biegu. Cokolwiek działo się za jej plecami, potrafiła stwierdzić, że nie

wszyscy wyjdą z tego żywi, a świadek nie jest nikomu potrzebny. Chciała jak najszybciej dotrzeć do chaty i powiadomić siostrę o tym, co tu się działo. Na nią zawsze mogła liczyć.

Wciąż miała na dłoniach krew tamtego mężczyzny, a powietrze paliło jej płuca. Od prawie roku nie biegła na tak długie dystanse, co boleśnie czuła w starych ranach.

Ktoś gwizdnął za jej plecami, wskutek czego na moment straciła równowagę. Tylko lata doświadczeń pozwoliły jej się nie wywrócić i uciekać dalej, choć przyplącała to syknięciem. Podążało za nią kilku i byli coraz bliżej. Nie zdoła im umknąć, a jeżeli będzie biegła jeszcze dłużej, nie da rady z nimi walczyć.

Nie bez powodu jesteś częścią mnie, Elektro.

Zatrzymali się, dopiero gdy przerzedzone drzewa przestały zapewniać ochronę. Nie można było nazwać tego miejsca polaną, ale lasem również nie. Rico machnął ręką. Grupa się rozproszyła, każdy zajął swoje strategiczne miejsce. Wciągnął mocno powietrze i skinął głową na jedną ze stert kamieni przed nimi. To tam ukryła się ścigana przez nich ciekawostka.

– Zachowaj resztki honoru i stań do walki jak mężczyzna! – Nie spodziewał się specjalnej reakcji i choć nie czuł tu nikogo więcej, postanowił nie ryzykować zdrowia swojej grupy. Dlatego na twarzy wykwitł mu szok, kiedy do ich uszu dotarł dźwięczny śmiech. Spojrzał po towarzyszach, ale byli tak samo zdezorientowani jak on. Kobiety od Czasu Zmian nie brały udziału w potyczkach. Właściwie nie było ich prawie wcale, jeśli nie liczyć wilkołaczyc.

– Musicie mieć niezłe kompleksy, skoro biegacie z tak długimi ostrzami! – odpowiedział mu zadziorny głos, który z pewnym

trudem wypowiadał poszczególne słowa, jakby niezbyt dobrze znał ich język. Edoardo stojący po jego prawej nerwowo przestąpił z nogi na nogę. – Macie swoje sprawy, ja mam swoje. Rozejdźmy się w pokój, póki nasza krew nie splamiła tej ziemi.

Rico rozejrzał się jeszcze raz po okolicy i dopiero teraz pojął swój błąd. Księżyc dobrze oświetlał polanę, nie to co w gęstwinach, z których wyszli, a w dodatku było tu sporo dobrych kryjówek.

Zwrócił głowę w stronę Marco i popukał się w ucho. Odpowiedział mu jeden uniesiony palec.

Obliżał usta i rzekł nieco drwiącym głosem:

– Jesteś kobietą, w dodatku samą. To żadna zasadzka. Poddaj się, póki możesz.

– Masz rację – usłyszał i prawdę mówiąc, nieco się zdziwił, a może i zawiódł? – To nie zasadzka. To będzie rzeź. Jest was TYLKO pięciu. Co zamierzacie? Położyć się i płakać? Nic więcej was nie uratuje.

Uśmiechnął się, a po skórze przemknęło mu osobliwe uczucie. To w niczym nie przypominało prawdziwej potyczki, której echa nadal docierały do ich uszu, ale ta sytuacja z jakiegoś powodu jawiła się dużo ciekawiej od zwykłej rąbanki.

– Skąd ty się tu wzięłaś? Od lat nie biorą was na walki.

Rico skinął głową na dwóch towarzyszy stojących najbliżej, a oni zaczęli powoli zbliżać się do kryjówki kobiety.

– Czasy się zmieniają, dupku. A jeśli twoi ludzie zrobią jeszcze cztery kroki w moją stronę, zabiję ich. – Jej głos ociekał pewnością, lecz to były dla Rico nic nieznaczące słowa, a jego ludzie nawet się nie zawahali. Nieznajoma za to odliczała wraz z każdym kawałkiem, z jakim się do niej zbliżali. – Raz... Dwa... Trzy...

Nie dojrzała do czterech. To byłaby głupota. Wychyliła się zza osłony i oddała dwa precyzyjne strzały – w głowę i w szyję.

Huk jeden za drugim przetoczył się po okolicy, sprawiając, że pozostała trójka podniosła miecze w pozycji obronnej. To wszystko wydarzyło się w trakcie kilku oddechów, a kobieta ponownie zniknęła za zasłoną. Jedyne jej ruda czupryna mignęła Rico na skraju świadomości.

Ranni mężczyźni wrzasnęli. Ten, który dostał w głowę, skulił się i oparł dłonie o uda, wypuszczając oręż z rąk. Drugi zatonął się i złapał za szyję, by zatamować krwawienie, ale niewiele mu to dało. Upadł na kolana i spojrzał zszokowany na Rico. Otoczenie zamarło, a grupa pierwszy raz od lat poczuła prawdziwe ukłucie niepokoju. Ze stuporu wyrwał ich dopiero szelest gałęzi. Cel zaczął uciekać.

– Marco! Ze mną! Edoardo, zajmij się nimi! – rozkazał i schował miecz. W tym wypadku tylko by go spowalniał.

Rzucił się za niknącym zapachem, czując za plecami wsparcie towarzysza.

Elektra parła przed siebie z całych sił. Wielokrotnie odebrała życie. Winnym i tym, którzy znaleźli się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Nigdy jednak nie widziała, żeby ktoś z takimi obrażeniami po prostu się skulił i dalej oddychał. Tak samo zszokował ją widok mieczy, które do tej pory były dla niej jedynie historycznym wpisem w podręcznikach.

Słyszała za sobą zbliżającą się pogoń. Gdy zobaczyła wielkie drzewo, obróciła się gwałtownie, pozwalając, by siła rozpędu odrzuciła ją plecami na jego pień. Musiała zobaczyć, ilu ją goni. Wstrzymała oddech i oddała kolejne dwa strzały w stronę dwóch mężczyzn. Jeden, ten pierwszy, dostał w ramię, bo lekko

skręcił ciało, ale nawet na chwilę się nie zatrzymał. Biegł dalej, zapewne z mordercą w oczach, chociaż nie mogła tego stwierdzić z tej odległości.

– Kurwa! – warknęła, znów dwukrotnie pociągnęła za spust i pobięła w tym samym kierunku co wcześniej. Doskonale wiedziała, że gdyby odbiła w lewo czy prawo, prawdopodobnie zrobiłaby kółko, a to do niczego by jej nie doprowadziło.

Mężczyźni do niej nie krzyczeli, nie przekonywali jej do podania się. Po prostu biegli, stopniowo zmniejszając między nią dystans. Kiedy na nich zerknęła, przekonała się, że nie wyglądała na zmęczonych. To nie był dobry znak. Jej ubranie już dawno przykleił do ciała pot.

Serce wybijało w piersi szaleńczy, ale równy rytm, a stare rany ciągnęły nieprzyjemnym bólem. Nic jednak sobie z tego nie robiła. Po prostu gnała wraz z blaskiem przebijającego się przez korony drzew księżycy i oddychała równo. Do czasu.

Bardziej wyczuła, niż usłyszała nadchodzące zagrożenie. Skuliła się, unikając dzięki temu sztyletu lecącego prosto w jej bark, lecz zachwiała się i zwolniła. To był błąd.

Gorące ciało wpadło na nią niczym taran i powaliło ją na liście oraz suche gałęzie. Upadek wydusił z płuc Elektry całe powietrze, a ciało zastrajkowało, gdy przejechała dwa metry po ściółce. Wciąż z całych sił ścisnęła broń. Mężczyzna chwycił ją od tyłu za szyję i zaczął dusić. Miała może kilka sekund, zanim zupełnie odetnie jej dostęp do powietrza. Wygięła rękę i z przyłożenia wpakowała mu w bok parę kul, aż usłyszała klikanie pustego magazynku. Pojawiły jej się przed oczami mroczki. Napastnik ją puścił i z jękiem przetoczył się na bok, a Elektra starała się dźwignąć na kolana i jednocześnie zmagająca się z ogarniającą ją ciemnością i szumem w uszach. Coś szarpnęło

nią do góry. W ostatnim momencie zablokowała cios lecący na jej twarz i wyprowadziła proste kopnięcie w kolano przeciwnika. Zadziałał instynkt, bo dopiero po chwili zrozumiała, że patrzy na dowódcę tamtej grupy.

– Nie jestem ci potrzebna – wycharczała, próbując złapać oddech. – Zostaw mnie, póki jeszcze możesz.

Patrzył na nią niewzruszenie. Widok ранnego przyjaciela nie robił na nim wrażenia, bo nawet nie zerknął w jego stronę.

– Pójdiesz z nami – stwierdził twardo i wreszcie spojrzał na towarzysza.

Odskoczyła, nie chcąc dać się złapać, ale to był błąd. Dłoń tego, w którego wpakowała resztę magazynku, zacisnęła się na jej kostce niczym imadło. Z trudem zachowała równowagę, gdy jednak spojrzała w czarne niczym smoła oczy ранnego, coś w niej drgnęło. Powinien już nie żyć, tymczasem nadal oddychał. Tyle wystarczyło. Zasłoniła się ręką, ale cios po niej zjechał i trafił w jej twarz. Tym razem ciemność rozjaśniły gwiazdy, lecz wciąż stała uparcie. Wyprowadziła kopnięcie w brzuch tego, który trzymał ją za nogę, niestety na niewiele się to zdało. Usłyszała jedynie jęk, ale uchwyt się nie rozluźnił.

Ciszę nocy znowu przeszło wycie wilków, a każdy ruch Elektry odbywał się poza jej świadomością. Odpierała ataki i wyprowadzała ciosy – a może tylko tak jej się wydawało. W końcu ten, którego nazywała w myślach dowódcą, uderzył ją w żołądek. Zgięła się wpół i opadła na kolana, resztkami sił walcząc o oddech. Stał nad nią i nie bacząc na jej dyskomfort, brutalnie złapał ją pod brodę.

– Zawsze stawiam na swoim.

Nie zdążyła odpowiedzieć, że ona także. Straciła przytomność.

Ostrzeżenia dotyczące treści

PTSD,
samobójstwo,
zbiorowe samobójstwo,
morderstwo,
tortury,
ciasne przestrzenie,
wulgarny język.